Nr. 38. Lwów dnia 25. października. Rok 1865.

TYGODNIK NAUKOWY.

Wychodzi we Środę. Kosztuje z przesełką pocztową: 6 złr. rocznie; 3 złr. półr.; 1 złr 50 cnt. kwart; 50 cnt. mieś. Listy niefrankowane nie przyjmują się.
Redakcja i administracja naprzeciw Bibl. Ossolińskich L. 375 1/4

Rzecz o włościanach w dawnej Polsce

pod względem prawnym i ekonomicznym.

Przez

Dra Ferdynanda Wilkosza.

(Ciąg dalszy).

Wolność osobista.

Przed ustawodawstwem Kazimierza W. wolno było każdemu włościaninowi dowolnie zmieniać siedzibę, gdyż pod tym względem nie było żadnego ograniczenia, Ta okoliczność wedle ówczesnych mniemań niekorzystnie wpływała na rolnictwo, i umniejszała dochody skarbu, albowiem gdy kmieć wynosił się ze wsi, przechodził tem samem do ludności nieosiadłej i nie opłacał łanowego. Ta strata skarbu była tylko pozorną: bo gdy kmieć opuścił jednę rolę, to osiadał na drugiej, a zatem jeżeli nie z tamtej, to z tej opłacał łanowe. Prawodawstwo chciało zapobiedz tym uszczerbkom i opisało ściśle warunki, pod jakimi włościanin z roli oddalać się mógł: V. L. I. f. 21. stanowi: Włościanin chcący zmienić rolę winien był na św. Wojciech opatrzyć dom, na Zielone świątki ogrodzić płoty, a na dwa tygodnie przed Bożem Narodzeniem oświadczyć panu włości, że go chce porzucić, zostawiwszy na swem miejscu zastępcę, który resztę czasu wysiedzi; przytem powinien był wezwać go, aby przez wyznaczonych na to dwóch mężów ze swej, a dwu z kmiecia strony, obejrzeć raczył majątek: czy wszystko w dobrym stanie? Jeżeli tego wszystkiego kmieć nie uczynił, był uważanym za zbiega, a przyjmujący go płacił karę piętnadziesty. Dopiero po upływie roku, jeżeli pan mając wiadomość o ujściu kmiecia nie dopominał się i nie poszukiwał go, kmieć uzyskiwał wolność.

Wolno jednak było i więcej kmieciom opuścić wieś, o czem art. 7.*) tak dalej stanowi: „Bez przyzwolenia dziedzica nie więcej, jak dwóch kmieci, lub wieśniaków z jednej wsi do drugiej przenosić się może, wyjąwszy w następujących przypadkach: 1) Gdy pan wsi zgwałci żonę, lub córkę kmiecia. 2) Gdy z winy pana poddani jego dóbr na złupienie, lub zagrabienie narażeni bywają. 3) Gdy klątwa, dla jego przewinienia na wieś rzucona, trwa przez rok cały. W tych bowiem wypadkach nie tylko 3 lub

*) Statut Kazimierza W. V. L. I. f. 21.

4 ale wszyscy mieszkańcy wsi oddalić się mogą, dokąd im się podoba art. 134: Ale jeżeli kmieć zbiegły, chociaż o nieprawne zbieżenie przeświadczony, dla surowości, lub zawziętości pana powrócić nie chce, wtedy zapłaciwszy trzy grzywny kary i całoroczny czynsz, jaki pierwej opłacał, może się od powrotu uwolnić. Tym sposobem ograniczono wprawdzie poniekąd wolność kmieci, atoli ustawa Kazimierzowska nie bardzo surowo była wykonywana, bo jeszcze statut Władysława Jagiełły z roku 1420 stanowi: „że jeżeli włościanin bez przyczyny opuści grunt, tenże w sądzie wyższym po 3 a nawet według okoliczności po 4 razy do powrócenia do własności swej pozawezwanym będzie (*ut ad suam redeat haereditatem*). A jeżeliby jednak pomimo to nie wrócił, pan wsi będzie miał prawo na posiadłości jego kogo innego osadzić.“ *)

Wielkie zmiany zaszły później pod względem wolności osobistej. Przyczyny do tego szukać należy po części w wpływie prawodawstw krajów sąsiednich a mianowicie Niemiec i Litwy, gdzie lud uprawiający rolę był niewolnym; po części w wzrastającej uprawie wielkiej. Już Władysław Jagiełło, nadając kanonikom kapituły chełmskiej grunta, zaleca im założenie folwarków (*praedium*). **)

A gdy po odkryciu Ameryki handel gdański wzrastać począł, rzuciła się szlachta z zapałem do uprawiania gruntów na wielki rozmiar, i dla tego poszukiwała bardzo pracy. Prawodawstwo, chcąc temu poszukiwaniu dopomódz, obrało bardzo złą drogę i wydawało ustawy jeszcze bardziej ograniczające wolność osobistą włościan, aby zapobiedz rozchodzeniu się tychże i utracie sił do pracy. Wypływem tego fałszywego zapatrywania się był statut Jana Alberta roku 1496 wydany, dozwalający tylko jednemu włościaninowi opuszczać wieś; i statut Zygmunta I. z roku 1503 lub 1505, zabraniający wszelkiego opuszczania włości bez zezwolenia dziedzica. ***) Równocześnie zagrożono starostom i gminom miejskim wielkiemi karami za przyjmowanie lub osadzanie zbiegłych kmieci; starostom zaś nakazano ścigać ich wszędzie i odsełać do dawnego zamieszkania. ****) Konstytucja z roku 1543 ostatni zadała cios ludności rolniczej: nakazała kmiecia, opuszczającego grunt bez zezwolenia dziedzica, zwracać bezwarunkowo, bez możności wykupienia i opłacenia się grzywnami. Odtąd ludność rolnicza wolna zupełnie zrównaną została z ludem poddanym, przykutą do roli i oddaną pod opiekę pana.

Opieka ta rozciągała się nawet i na dzieci włościanina. Statut z roku 1496 stanowi: „Synowie tegoż bez zezwolenia pana nie mogą być oddani do szkół, luk rzemiosł. Jeżeli tylko jeden jest syn w domu, ten musi być na gruncie; gdy ich jest więcej, jeden z nich za pozwoleniem pana może się udać do szkół lub rzemiosł.“ Statut z roku 1503 obostrzył jeszcze poprzedni i zawarował: że w razie, gdy syn samowolnie opuszcza rodzinę, część spadku przechodzi na pana włości, że gdy córka osiadłego za mąż wyjdzie za człowieka wolnego, ten staje się przytwierdzonym.“ Zwyczaj wzbronił następnie wydawania za mąż córek do obcego dziedzictwa dla nieogołacania gruntu i nie wynoszenia posagu. Ostrość tych ustaw postanowiły wprawdzie stany zmienić, ale zamierzone zmiany nie przyszły do skutku.

Prestacje, powinności i stan ekonomiczny gospodarstw.

Obowiązki ekonomiczne były dwojakie: jedne wynikały z poddaństwa, drugie zaś z posiadania roli.

*) Porównaj: Grenevir 1 i c. Str. 11.

**) T. Lubomirski. Północne osady wołoskie. Bibl. Warz. R 1855. T. 4. str. 21

***) T. Lubomirski Rolnicza ludność w Polsce. W Bibl. Warsz. R. 1862. T. 2. str. 8.

****) V. L. I f. 253 i 367.

Na Zachodzie był zwyczaj feudalny, że lennik opłacał swemu panu zwierzchniemu daniny np. dla wykupienia go z niewoli, lub gdy tenże córkę za mąż wydawał, a prócz tego odbywał różne posługi poddańcze, jak tego wymagała potrzeba. Zwyczaj ten feudalny przyjął się i w Polsce, zwłaszcza wtenczas, kiedy szlachta na wzór zachodnich panów feudalnych zagarnęła wszelką władzę nad włościanami. Atoli statut Władysława Jagiełły z roku 1433 uwolnił bezwarunknwo włościan tak w dobrach duchownych jak i szlacheckich za opłatą panującemu podatku gruntowego dwóch groszy z łanu (podymne) wiecznymi czasy od wszelkich powinności publicznych, podwód, liwerunków i wszelkich wymagań.*) Jeżeli zaś mimo tego tak duchowni, jak i szlachta od włościan powinności tych aż do 18go wieku wymagali, było to nadużyciem, nie mającym żadnej podstawy w prawodawstwie.

Powinności wypływające z posiadania roli składały się z czynszu, z danin i robocizny. Pierwszy opłacono w pieniądzach, albo też w naturze.

W nadbałtyckich i południowo-wschodnich prowincjach, gdzie wiele było gotówki, opłacano czynsz w pieniądzach, gdzie indziej w płodach. Daniny nie były wielkie. Robociznę odbywano zazwyczaj w sposób zaczasny, czyli uroczy. Wieś miała albo oznaczoną jakość robót i ilość dni, albo wyznaczony dział gruntu do uprawy (zaczas, powab), albo też pewną ilość korcy do posiania i zwiezienia do stodoły.

Używalność była dwojaka: albo wspólna z dworem, jak pastwisk, lasów, wód, albo wyłączna gruntów kmiecych. Używalność wspólna (zabytek dawnego opola, które miało znaczenie gospodarcze) już w wieku XV. uległa wielkim ograniczeniom, bo szlachta wyłamując się zpod opola, wzbraniała kmieciom używać dworskich lasów, stawów i pastwisk. Ponieważ ciężary i powinności z gruntów nie były wielkie, przeto stan ekonomiczny kraju był bardzo dobry.

Gospodarstwa kmiece dobrze były uposażone, zabudynki gospodarskie obszerne, chałupy rozrzucone, więcej sprzyjające uprawie gruntu. W krakowskiem kmiotowna z Sieradzia posiada 600 kóp zboża, 47 sztuk bydła, 70 ptactwa, i sprzętu gospodarskiego na 30 grzywien.

W Wielkopolsce córka kmiecia bierze posagiem w odzieży i srebrnych ozdobach grzywien 7. Podług *liber beneficiorum* archidiecezji krakowskiej (Jana Długosza) wartość zbioru gospodarza z łanowej osiadłości wynosiła w krakowskiem i sandomierskiem grzywien 10, z południowej części sieradzkiego od 12 — 15 grzywiem.**)

Pszczelnictwo kwitło w wielkim rozmiarze, były nawet osady wyłącznie bartnictwem się trudniące; dobry byt był powszechnym, można nawet napotkać małe kapitały zgromadzane w rękach kmieci. Przy tem mieli kmiecie wielki kredyt, a wypożyczając kapitały na zastaw gruntu, równali się pod tym względem szlachcie.

Do podniesienia kredytu przyczyniły się wielce rękojemstwa.***) Była to instytucja wypływająca z ducha stowarzyszenia, który tak wielkie wywarł wpływy na losy ludzkości. Każdy kmieć stawiał w ważniejszych sprawach kogoś jako rękojmię, że dopełni wszystkich zobowiązań, które wziął na siebie. Tym sposobem wszystkie stany razem były połączone, gdyż pan był nieraz rękojmią kmiecia, a kmieć rękojmią pana. Takie połączenie nadawało większą pewność i bezpieczeństwo stosunkom prawnym, a łącząc interesa wszystkich stanów jedną nicią, nie dozwalalo, aby jakiś stan był skrzywdzonym, gdyżby to pociągało skrzywdzenie innych stanów za sobą. Dlatego

*) Greveniz l. c.
**) T. Lubomirski l. c. Bibl. warsz. R. 1858. T. I. str. 258 i n.
***) T. ks. Lubomirski l. c. ibid. R. 1857. T. II. str. 794.

też często kmieć, dostając lepsze warunki u sąsiedniego właściciela, oddawał mu się w rękojemstwo, że zapłaci regularnie wszystkie powinności zaległe, i oddalał się z gruntu. (Akta Z, Poznań. 1480 r.)

Widać więc z tego wszystkiego, że stan włościan był kwitnącym, i byłby takim nadal pozostał, gdyby nie wprowadzenie przymusowej robocizny. Już król Ludwik dał do tego przykład, wprowadzając oprócz czynszu i pracę przymusową dwóch dni podczas żniwa i sianożęcia.*) Kiedy potem przez zaprowadzenie uprawy większej grunta folwarczne powiększać poczęto, i praca bardzo była cenioną: więksi właściciele, chcąc wielkie z gruntu ciągnąć korzyści z usunięciem kmieci, zniewalali tychże do bezpłatnej pracy na folwarkach swych przez pewien przeciąg czasu, z fałszywej wychodząc zazady, jakoby praca przymusowa, dlatego że jest bezpłatną, ekonomicznie korzystną była.

I ustawodawstwo było tej samej myśli. Statut toruński wydany roku 1520 za Zygmunta I., nakazał: „że wszyscy kmiecie, lub koloniści w dobrach tak królewskich, jak i prywatnych, którzy dotąd dnia jednego na tydzień nie odrabiali, z łanu dzień jeden tygodniowo robić mają; że to jednak nie ma się stosować do tych, którzy panom swoim czynszami pieniężnymi, w zbożu lub innych daninach robociznę zastępywali; tudzież, że ta konstytucja nie stosuje się do tych włościan, którzy więcej dni tygodniowo odrabiali.“

Rozważymy teraz, jakie skutki pociąło za sobą wprowadzenie wielkiej uprawy, przytwierdzenie i przymusowa robocizna. (C. d. n.)

O reformie szkół krajowych.*)

skreślił dr. Józef Dietl.

> »Dobrze urządzone szkoły są niewycze panem bogactwem kraju.«

Nigdy pożądańszą nie mogłaby być książka powyższa, jak w chwili obecnej, kiedy mamy nadzieję, że przykre i bolesne dotychczasowe stosunki nareszcie na lepsze się zmianą, i że kraj nasz doczeka się rzetelnej reformy i podniesienia oświaty i dobrobytu. To też widzieliśmy nią szczerze zajętych nie tylko ludzi zawodowych, ale ogółem całą inteligencję szczerze o szczęściu kraju myślącą; a co więcej, nawet na mniej troszczących się o postęp nauki: na nauczycieli szkół niższych wielkie sprawia wrażenie, i wlewa w nich otuchę lepszej przyszłości.

Pisma nasze polityczne, które od niejakiego czasu bardzo żywo kwestją oświaty się zajęły, bądź podniosły już znaczenie tej książki i rzeczy w niej opracowanej, bądź wkrótce niezawodnie podniosą, my ograniczymy się na zestawieniu treści, na wykazaniu jej ważności, przez co nie zamierzamy tyle podać gruntownej krytyki dzieła, coby nas na inne pole zawiodło, ile chcemy obznajomić z nią ludzi interesujących się oświatą i zwrócić na nią powszechną uwagę.



*) Rzyszczewski. *Codex diplomaticus Poloniae I. 328.*

*) Zeszyt 1. Stanowisko szkoły. Rada szkolna krajowa. Język wykładowy. Kraków 1865 (Czysty dochód na rzecz ubogich uczniów szkół krakowskich).

Autor wychodząc z zasady, przez wszystkich światłych i o dobro kraju dbających ludzi uznanej, że wychowanie publiczne do najżywotniejszych spraw naszych należy, i przyznając, że co do urządzenia szkół galicyjskich od r. 1848 niemało dobrego się stało, choć jeszcze niezmiernie wiele do zrobienia pozostaje, poczytuje sobie za nieodzowny obowiązek wypowiedzieć otwarcie, jakie ma być urządzenie szkół naszych, ażeby one odpowiadały właściwym potrzebom uczącej się młodzieży, kraju i państwu. Wzywając życzliwych współobywateli do objawienia swych zdań i pokonań, do tej kwestji się odnoszących, słusznie wzmiankuje, że milczeć i czekać w sprawie, tak żywotnej, byłoby grzeszną biernością. Ministerstwo Schmerlinga ustąpiło, nie wywiązawszy się z swego zadania co do wychowania publicznego, nie spotężniała bowiem pod jego sternictwem ani umiejętności, ani też państwo za pomocą umiejętności.

Pozwalamy sobie przypomnieć — pisze szanowny autor dalej w przedmowie — iż zmiana na lepsze zacząć się musi od lepszego urządzenia szkół krajowych w duchu autonomicznym. Wtenczas zaprawdę umiejętność stanie się potęgą, a na tej potędze oprze się nie tylko kraj, ale i państwo. — Oświata ludowa, to produkcja; produkcja, to źródło niewyczerpanych bogactw, bo je nieustannie zasila prąd inteligencji ludowej. Nie podniesienie podatków, lecz podniesienie produkcji mocą oświaty w dobrze urządzonych szkołach niech będzie hasłem nowego rządu.

Autor nie zamyśla bezwzględnie zganić obecny stan szkół krajowych i podać projekt zupełnego przeobrażenia, wykazuje tylko w uwadze wstępnej, że sam rząd najlepszemi natchniony chęciami wziął się równie do zreorganizowania wszystkich szkół na wzór zagranicznych. Już ministerstwo z r. 1849 wskazywało i wypowiedziało jako najwyższą zasadę pedagogiczną, że obok nauczania, uszlachetnienie charakteru uczącej się młodzieży, wychowanie człowieka w wyższem znaczeniu słowa głównem winno być zadaniem nauczyciela. — Ogółem uznaje autor zupełnie ustawy rządu, które niestety źle zrozumiane, nienależycie pojęte, przez brak chęci, obojętność, nieudolność, nadużycia, nieprzyjaźne osobiste dążności, nie mogły wejść w życie. Nie będziemy — mówi szanowny autor — obwiniali nikogo, bo nam nie chodzi o naganienie i karcenie, lecz o rzeczywiste i rychłe ulepszenie szkół naszych krajowych. Wytkniemy przeto w uwagach szczegółowych ich wady i niedostatki wzywając władze, kraj i ludzi fachowych do uskutecznienia reform, które za najpilniejcze poczytujemy. Zastanowiliśmy się obszerniej nad wstępnemi uwagami szanownego autora, żeby czytelnikowi wyjaśnić, jak reformę szkół krajowych pojmuje, co mu da miarę o wartości całego dziełka, którą podnieść częstą jeszcze zręczność mieć będziem.

W części pierwszej: „Szkoła w ogóle i jej stanowisko“ przedstawia autor zadanie szkoły, dwojakie: wychowanie i nauczanie młodzieży, i przytacza ustępy z organizacji austrjackiej i ustawy komisji edukacyjnej narodowej byłej Rzpltej polskiej z r. 1773, którąby się i dzisiaj, choć nauki tak znacznie postąpiły, każdy najpotężniejszy naród mógł poszczycić. Obydwie te czynności (wychowawcza i dydaktyczna) wspólnie odbywać i wzajemnie wspierać się muszą. Obowiązki szkoły są wielkie i ważne, dlatego nie można jej odmówić pewnych praw, pewnej samodzielności czyli autonomji. „Autonomja szkoły na tem zależy, ażeby była niezawisłą od obcych krępujących ją wpływów, ażeby nie była niczyjem narzędziem, lecz ogniskiem oświaty. Wewnętrzne przeto urządzenie, dobór i rozwój swych środków pedagogicznych i dydaktycznych do autonomicznych czynności szkoły należy, w których niepowinna być ścieśniona przez żadną obcą władzę z wyjątkiem prawnego nadzoru, któremu każda instytucja krajowa podlega. Szkoła nie jest i nie może być córą kościoła, ani też kościół nie jest jej

ojcem duchowym. Nie masz między kościołem i szkołą żadnego stosunku zależności, lecz zachodzi między niemi stosunek wzajemnej pomocy. Kościół nie może się obejść bez szkoły, bo za jej pomocą najpewniej i najskuteczniej szerzy swoję naukę. Szkoła nie może się obejść bez kościoła, a mianowicie bez nauki religji, która stanowi podstawę moralnego wychowania człowieka. Ponieważ zaś kościół ma obowiązek nauczania w szkołach religji, przeto służy mu prawo współudziału w nadzorze, w zakresie jednak tylko religijnym, odnoszącym się do wyznania.“

Najważniejsze te dwie instytucje powinny dążyć do swego celu wspólnie, bez zazdrości, bez uroszczeń, bez przekroczeń swoich granic.

Takie jest życzenie autora, takie jest zapewne życzenie wszystkich światłych ludzi — ale dotychczas w Austrji w skutek zawartego z stolicą apostolską konkordatu ma się rzecz przeciwnie.

Wpływ kościoła, a raczej władzy duchownej krajowej ogranicza się wprawdzie głównie tylko na szkoły ludowe, ale i tu należałoby go zmniejszyć i ukrócić. Wiemy dobrze, że wszystkiemi niższemi szkołami prawie zupełnie rządzą konsystorze łacińskie i ruskie, które mając tyle innych ważnych spraw pomimo najlepszych chęci należycie zająć się niemi nie mogą.

Czas już nareszcie uwolnić konsystorze od niepotrzebnych kłopotów, zostawiając im pewny przynależny wpływ, i oddać zarząd szkół ludziom fachowym, a mianowicie Radzie szkolnej, o której później wspomniemy. Nie ulega wątpliwości — mówi p. Dietl w rozdziale „O stosunku szkoły do państwa“ — że rodzicom służy wyłączne prawo wychowania swoich dzieci, ale ponieważ z małymi wyjątkami rodzice nie mogą wychowywać dzieci prywatnie, co wielkich kosztów wymaga, przeto p o w i e r z a j ą swe dzieci rządowi w celu pożądanego ich wykształcenia.

Ale dzieci powierzone rządowi nie stają się jego własnością. Rząd, jako zastępca rodziców nie może nieuwzględnić ich słusznych życzeń i w porozumieniu z niemi powinien urządzać szkoły, czyli mówiąc inaczej w znaczeniu politycznem, r e p r e z e n t a c j a k r a j u w i n n a m i e ć p e w n y u d z i a ł w z a r z ą d z i e s z k ó ł p u b l i c z n y c h.

W należycie urządzonem państwie rząd reprezentuje wolę ogółu. Cele rządu i cele społeczności są jedne i te same, a zatem i co do wychowania młodego pokolenia nie może między rządzącym i rządzonym istotna zachodzić różnica. Ale taki stosunek jest ideałem, mianowicie w państwach niejednolitych, gdzie rząd ma swoje, a społeczeństwo swoje właściwe wymagania i potrzeby. Rządowi przedewszystkiem na tem zależeć musi, ażeby szkoła wydawała zdolnych urzędników i wiernych doddanych; społeczności zaś, ażeby szkoła wydawała światłych obywateli i wiernych synów kraju. Piętnem wychowania rządowego zawsze będzie władza i poddaństwo; piętnem wychowania narodowego obywatelstwo i narodowość. Dowiedzionem jest, iż szkoła pod wyłącznymi wpływami władzy rządowej nie rozwinie się swobodnie, nie owładnie wychowania całą swą siłą, nie przeniknie serca młodziana ciepłem swem światłem, nie wzniesie go do wysokości swego ludzkiego i obywatelskiego powołania; odzieje go tylko twardą skorupą ukutych pojęć szkolnych, którą przełamać trudno mu będzie w przyszłym życia swego zawodzie. Szkoła nie powinna być figurą rządową ujętą w żelazną szatę, w której rozwijać i rozrastać się nie może. Szkoły austrjackie były dotychczas instytucjami wyłącznie rządowemi. Ztąd wszakże nie wynika, żeby szkoła zupełnie niezawisłą była od rządu, żeby była odrębną autonomiczną korporacją, z władzą ustawodawczą i wykonawczą; owszem powinien rząd — tylko nie wyłącznie i nie zapomocą swej biórokracji — lecz wspólnie z reprezentacją krajową i ludźmi umiejętnymi szkoły urządzać i dozorować. Tak jak każda rodzina,

tak też i każda gmina *) jako zgromadzenie rodzin ma obowiązek wychowania swych dzieci, a zatem i założenia szkoły u siebie stosownie do swych potrzeb i środków, a oraz prawo wyłącznego zarządu, które w braku ludzi umiejętnych przenieść może na osoby, do wykonania tegoż uzdolnione.

Słowem szkoła powinna być instytucją narodową, zostającą pod opieką i nadzorem rządu, i wolną od szkodliwego wpływu dokrynerstwa i pętów, jakie na nią wkłada obca hierarchja, i tylko w takim razie stanie na wysokości właściwego swego zadania.

Wyłożywszy stanowisko i zadanie szkoły, nad któremi zatrzymaliśmy się i my nieco dłużej, niż to było naszym zamiarem, przystępuje autor do najważniejszych i najpotrzebniejszych zamian, do których przedewszystkiem należy ustanowienie osobnych władz szkolnych krajowych, i podaje dla wyświecenia tego arcyważnego przedmiotu naprzód pogląd na zarząd szkół, jaki obecnie w różnych państwach cywilizowanego świata, a przedewszystkiem w Austrji, istnieje.

Nie mogąc tej nadzwyczajnie ciekawej rzeczy streścić obszerniej, bo nareszcie przyszłoby nam całą książkę przepisać — tak w niej wszystko jest ważnem i zajmującem i że się tak wyrażę — z pod serca nam wyjętem — dorzucimy słówko do rozdziału o „Szkołach średnich“ (str. 30) — o zarządzie gimnazjów. Nie potrzebujemy mówić, jakim ten zarząd być powinien, bo o tem szanowny autor dostatecznie powiedział, ale jakim jest. Wybór dyrektora nie zależy ani od gminy ani od profesorów ani od ludzi sumiennie obeznanych z zdolnościami kandydatów — ale od władz rządowych. Na polecenie inspektora i referenta namiestnictwa ministerstwo mianuje dyrektora, przeznaczając mu bardzo często posadę w gimnazjum, w którem nie był nauczycielem i którego lokalnych spraw nie zna. Przerażającem jest samowładztwo niektórych panów dyrektorów, zadziwia stosunek ich do nauczycieli i kapryśna dowolność w postępowaniu z nimi.

Mając główny i bezpośredni zarząd szkoły powinien dyrektor wglądać w czynności nauczycieli, nie mniej przeto należałoby ich uwolnić od upokarzającej zawisłości. Los profesora zawisł prawie zupełnie od zdania dyrektora i inspektora, które, że nie zawsze bywa nieuprzedzonem i słusznem — liczne pouczają doświadczenia. Na osądzenie czynności i zdolności nauczycieli wpływają często stosunki osobiste, nie pozwalające należycie ocenić zasługi, przekroczenia, zdolności lub niedołęztwa.

Zastanowiwszy się treściwie nad stanowiskiem, jakie szkoły zajmują w obec rządu, narodu i kościoła w wielkiej części świata cywilozowanego, dowodzi szanowny autor bardzo gruntownie, że najwyższe kierownictwo nad wychowaniem publicznem, powinno być oddane osobnej, wyłącznie ku temu ustanowionej władzy, bo tylko odrębność najwyższej władzy edukacyjnej zabezpiecza tę samodzielność i niezależność od różnych obcych wpływów, która niezbędnym jest warunkiem swobodnego ruchu i rozwoju w dziedzinie nauk i oświaty. W dotychczasowym organizmie szkół austrjackich wszędzie natrafiamy na wszechwładztwo biórokratyczne, wszędzie na wyłączny wpływ władz politycznych i duchownych, a nigdzie na wpływ reprezentacji narodowej i umiejętnej. I tak n. p. Galicja — mówi p. Dietl — po dziś dzień ma za mało szkół ludowych, udzielana w nich nauka nie jest praktyczna, bo nieodpowiada zawodowi wieśniaka; po roku 1849 głównym celem tych szkół było wkówanie w dziecko języka niemieckiego, zkąd wyradzały się potworne kaleczenia onego języka, znużenie i wstręt do uczenia się u dziatwy szkolnej; nauczyciele wiejscy jeszcze teraz źle uposażeni żyją w ubóstwie i poniżeniu, ich wykształcenie wcale niedostateczne; a jaki nauczyciel, taka i szkoła.

*) Stosunek szkoły do gminy.

Bardzo sumiennie i słusznie ujmuje się autor kilkakrotnie za losem nauczycieli, bo też istotnie, kto ich nie zna, trudno mógłby sobie utworzyć o nich najsłabsze wyobrażenie. Z małymi wyjątkami są to ludzie nadzwyczaj ciemni — a nawet często brak im prostego chłopskiego rozumu, któryby im dopomagał podzielić się z wiejską dziatwą przynajmniej odrobiną wiadomości, jakie posiadają. Są to ludzie bardzo ograniczeni — nie umiejący często nawet dobrze czytać*) (o dobrem pisaniu mowy nie ma). Zapewne że ubolewając nad losem dzieci, może zanadto czarno rzeczy widzimy i że ogromnie wielkie przypisujemy znaczenie nauczycielom ludowym, którzyby mogli być prawdziwymi apostołami oświaty śród ciemności — ale przyznać musimy, że żądać tego było niepodobieństwem, boć przecie żaden człowiek trochę wykształceńszy nie zechce poświęcić się zawodowi mozolnemu i niewdzięcznemu, kiedy mu gmina płaci 80 złr. które często łażąc od chaty do chaty sam egzekwować musi, otrzymując zwykle zamiast gotówki trochę ziemniaków i żyta.

Chociaż gminy w ostatnich latach bardzo wiele nowych szkół (przynajmniej na papierze) pozakładały, przecież nie oceniły dotychczas należycie ich ważności i ocenić nie mogły. Jak wszędzie tak i tu w skutek wzajemnego oddziaływania.

Nie ma dobrych nauczycieli, bo płacą im mniej, niż każdy sługa zarobi, nie czują wieśniacy potrzeby oświaty, i nieprzywiązują do szkół wielkiej wagi, bo ich dzieci w szkołach prawie niczego się nie nauczą. Gospodarz woli posłać syna z bydłem w pole, niż do szkoły, bo w pierwszym razie pomaga mu w gospodarstwie — w drugim bezużytecznie czas marnuje. Smutny to — ale nie mniej prawdziwy stan! Spodziewamy się wszakże, że skoro ludzie mający wpływ roztrząsną należycie całą kwestję, kraj przy pomocy rządu postara się tak o usunięcie wszystkich dotychczasowych organicznych wad i niedostatków — jak też o to, żeby przedewszystkiem założyć odpowiednie seminarja nauczycieli i podnieść ich płacę do tyla, żeby mogli skromnie wyżyć, nie cierpiąc głodu i nędzy.

Szkoły niedzielne — pisze dalej szanowny autor — zostały dotychczas prawie bez skutku. Brak dobrych książek ogólnie czuć się daje, katechizmy jeszcze z roku 1560. Niemasz w kraju administracji nakładu i przedaży książek dla szkół ludowych.

Gimnazjów było i jest jeszcze za mało; dotychczasowe tak są przepełnione (n. p. we Lwowie pomimo podziału 4rech a nawet 6ciu pierwszych klas na dwa oddziały — liczba uczniów w każdym oddziele dochodzi często do 80 — choć podług przepisu 50 przekraczać nie ma) — że najzdolniejszy i najgorliwszy nauczuciel z korzyścią dla uczniów pracować nie może. W szkołach głównych liczba uczniów jednej klasy przechodzi 100 a nawet 120 — i zwiększa się z każdym rokiem, bo naród coraz więcej przejmuje się koniecznością oświaty.

Brak zdolnych nauczycieli wielce czuć się daje, zkąd też sposób nauczania nie odpowiada właściwemu zadaniu tych zakładów. Wynagrodzenie nauczycieli gimnazjalnych za szczupłe, stanowisko zwichnięte, sposobność do wykształcenia się kandydatów naczucielskich niedostateczna, a nawet utrudniona.

Odsyłam tu czytelników do pięknego artykułu p. J. N prof. gimn. o komisji egzaminacyjnej we Lwowie**), która jasno wyświeca smutne położenie młodzieży poświęcającej się zawodowi nauczycielskiemu. Młodzi kandy-

*) Nauczycieli szkół głównych i miejskich mamy przeciwnie wielu bardzo światłych postępowych.

**) Gazeta Narodowa Nr. 222.

daci, którzy pomimo niedostatku i nędzy w pocie czoła niezmordowanie pracowali — mozolą się 6, 8 albo i więcej lat na to, żeby nareszcie przesadnym wymaganiom komisji lwowskiej odpowiedzieć nie mogli, choć przykłady pouczają, że pojechawszy do Pragi lub Wiednia z wyszczególnieniem egzamina złożyli.

Dla nauki języka polskiego tylko dwie godziny na tydzień są przeznaczone. Główny cel nauk gimnazjalnych jest wyuczenie się języka niemieckiego. Młodzież nasza, pobierając naukę w obcym języku i zmuszona uczyć się tylu języków naraz, nadzwyczajnie jest obciążona i upośledzona co do wykształcenia, jakie jej dać mogą szkoły publiczne.

„Geografja tylko trzy godziny na tydzień wykładaną bywa“ — mówi p. Dietl. Ktoś, nieznający stosunków, mógłby z tego wnosić, że w każdej klasie 3 godziny tygodniowo geografji są poświęcone. Gdyby tak było, nie moglibyśmy tu żądać niczego więcej: 3 godziny wystarczyłyby zupełnie, nawet dwie; w wyższych klasach nawet jedna. Ale u nas niestety! ogranicza się nauka geografji tylko na pierwszą klasę, a ponieważ wykład bywa zwykle suchy, przepisana książka jest prostem wyliczeniem kilku tysięcy nazwisk, obciążającem umysł ucznia, przeto już zawczasu traci zamiłowanie i chęć do uczenia się tego ważnego przedmiotu. W innych siedmiu klasach, choć plan naukowy wyraźnie zakreśla naukę historji i geografji zarówno, uwzględniają nauczyciele tylko pierwszą, poświęcając drugiej zaledwie kilka godzin w roku.

Wartość dydaktyczna i pedagogiczna łaciny i greki przecenianą bywa; nauki przyrodnicze, tak ważne dla podniesienia bytu materjalnego, muszą im ustępować; na dziesięciu profesorów filologji potrzeba tylko dwóch do historji, a jednego do nauk przyrodniczych; ztąd wielu z młodzieży poświęcającej się z zapałem tym naukom, po złożeniu egzaminów, nawet miejsca znaleźć nie może, podczas gdy zawsze brak krajowców — filologów, których zagranicznymi erudytami zastępować trzeba. Ogółem uwzglednić należy realne potrzeby narodu, który zawsze i przedewszystkiem zostanie rolniczym i chętnie; uczy się dziejów i nauk przyrodniczych, niż języków starożytnych. Gdybyż przynajmniej wykładano je należycie, gdybyż się starano zwrócić uwagę młodzieży na piękność utworów starożytnych, kształcących umysł i serce, a nie ograniczono się na dręczenia uczniów suchemi formami gramatycznemi, które wzbudzają w nim wstręt do całej nauki! Jest to błąd rażący, którego czemprędzej naprawić należy, żeby młodzież nie uważała nauki za udręczenie — za *malum necessarum* — ale za potrzebę życia.

O zakładach gimnastycznych, tak ważnych dla wzmocnienia i ćwiczenia ciała, a następnie i ducha nie ma mowy. Rzeczywiście pojąć trudno, dlaczego tak jest w Galicji, kiedy w innych krajach koronnych już dawno ćwiczenia gimnastyczne obowiązują każdego ucznia; przecież żadną miarą nie można przypuścić, żeby rządowi zależało na zniedołężnieniu naszej młodzieży. Rząd silnym jest siłą swych ludów.

Położenie nauczycieli smutne, praca, obowiązki i odpowiedzialność ogromna, płaca licha. Ogólne zgromadzenia nauczycieli całego kraju choć raz do roku odbywać się mające bardzo pożądane. Zwracamy uwagę na ten projekt; z wykonania jego nieskończone wynikną korzyści nietylko dla szkół, ale dla nauczycieli i umiejętności.

„Szkoły realne i techniczne bardzo zaniedbane, wiele do życzenia pozostawiają, a nasz kraj niczego więcej nie potrzebuje, jak tych zakładów.“

„Te i tym podobne niedostatki i potrzeby, aż nadto jasno dowodzą, jak wielkiem byłoby zadaniem władzy szkolnej, w kraju ustanowionej, i jakieby z niej spływały korzyści dla wychowania publicznego, a tem samem dla naszego kraju. — Jawną bowiem jest rzeczą, iż tylko taka władza,

złożona z reprezentantów kraju, i ludzi zawodowych, znająca język kraju, tegoż potrzeby i właściwe stosunki, ducha narodu, usposobienie, zalety i narowy młodzieży, iż taka jedynie władza podołać może olbrzymiemu swemu zadaniu. Trudno zaś żądać, ażeby pojedyńczy inspektorowie, proboszcze, dziekani, biskupi, władze powiatowe, namiestnicze i policyjne posiadały i znajomość rzeczy i czas i nareszcie chęć do rozwiązania tak ważnej kwestji, jaką jest wychowanie narodowe."

Z tych powodow i idąc za przykładem innych państw domaga się autor:

1) żeby szkoły publiczne jak dotąd zostawały pod opieką i kontrolą rządu;

2) żeby gminom i krajowi przyznany był przynależny udział nie tylko w ustawodawstwie, ale także i w zarządzie szkół krajowych.

3) żeby we wszystkich sprawach naukowych, mianowicie co do urządzenia wewnętrznego szkół, co do planu naukowego, do sposobu nauczania, do kształcenia i mianowania nauczycieli, słuchano zdania ludzi fachowych, tj. czynnych nauczycieli; powołanym do rady szkolnej pod tym względem głos stanowczy przysłużać powinien.

4) żeby duchowieństwu nie przyznawać innego wpływu na zarząd szkół, jak ten, który nauka religji i obyczajności koniecznie wymaga.

5) Żeby tym słusznym wymaganiom zadosyć się stało, niezbędną jest rzeczą odstąpić od błędnej dotychczasowej zasady, według której zarząd szkół powierzonym był władzom politycznym, i ustanowić osobną władzę pod nazwą Rady szkolnej krajowej.

Następnie skreśla szan. autor obszernie skład i zakres działania Rady szkolnej krajowej, która co do spraw wychowania publicznego jest jedyną i najwyższą władzą krajową.

Rada nie może być zawisłą od Namiestnictwa, ale musi mieć tę samą autonomję i powinna owładnąć cały organizm szkolny; podlega zaś bezpośrednio i jedynie ministerstwu, któremu ważniejsze swoje wnioski do ocenienia i zatwierdzenia przedstawia.

Rada szkolna dzieli się na 2 oddziały, składające się z 12 członków *) z siedzibą w Lwowie i Krakowie i stanowiące wspólnie radę całą z 24 członków złożoną.

Z uwagą szan. autora, że każdy oddział załatwiałby za pomocą dodanych mu urzędników sprawy bieżące, zgodzić się nie możemy, i zdaje się nam, że byłoby daleko korzystniejszem, gdyby urzędników nawet do spraw administracyjnych do pomocy nie używano, ale przydzielono je kilku nauczycielom Radzie szkolnej zupełnie podległym, wyznaczając im jakie mierne wynagrodzenie, tak pożądane wszystkim profesorom — tym, (jak autor pięknie mówi) proletarjuszom inteligencji z wieńcem zasług na oświeconej głowie, a z jękiem nędzy w ucieśnionem sercu.

Tak jak najwyższej władzy politycznej służą władze obwodowe, powiatowe i miejscowe ku załatwieniu spraw politycznych, tak też najwyższej władzy szkolnej krajowej pewne muszą służyć władze podrzędne, ku załatwieniu spraw szkolnych, które nie powinny być zaliczne, i składać się mają z komisyj szkolnych obwodowych i komisyj szkolnych miejscowych.

Autor podaje stan ich i zakres działania i kończy rozdział „O radzie szkolnej" wyrazeniem nadziei, że c. k. rząd zrzuciwszy już z siebie w obliczu

---

*) Naczelnik kraju; jeden referent — radca szkolny — jeden poseł sejmowy — 1 biskup lub jego zastępca — rektor i 1 profesor uniwersytetu — 1 dyrektor i 1 profesor gimnazjalny. 1 dyrektor i 1 profesor szkół technicznych i 1 dyrektor i 1 nauczyciel szkół niższych.

Europy szatę zaskorupiałego absolutyzmu, wejdzie na drogę prawdziwego postępu i konstytucjonalizmu i zwróci szczególnie swoją uwagę na oświatę, oswobadzając szkoły zpod obcych, krępujących je wpływów, i oddając je pod opiekę władz właściwych, umiejętnych i narodowych. (C. d. n.)

Złudzenia optyczne.

Czy wszystko, co widzimy, co słyszymy, jest w rzeczywistości? Oto pytanie, na które nieraz musimy odpowiedzieć przecząco.

Przy niektórych uderzeniach krwi do głowy widzimy, gdy popatrzymy się w jasne powietrze, że niezliczone malutkie czarne punkciki jakoby muszki się unoszą, nazywają je nawet bardzo trafnie „*mouches volantes*." Jednakowoż niema ich w rzeczywistości poza nami.— Gdy w ciemności oko silniej potrzemy albo pociśniemy, zobaczymy przed sobą jasne iskierki albo świecące koła, chociaż w rzeczywistości ani śladu światła albo świecącego ciała jakiego. — Jak często znowu słyszymy raz głośniejszy, raz słabszy dźwięk, chociaż żadne z otaczających nas ciał nie jest tego przyczyną?

Z drugiej zaś strony nie podaje nam wrażenie, wywołane podrażnieniem naszych zmysłów, nigdy tego, co poza nami istnieje, lecz zawsze coś wręcz innego. Jeżeli przy pomocy wszystkich środków pomocniczych, jakie nam umiejętność podaje, zbadamy świat zewnętrzny, to nieznajdziemy nigdy i nigdzie światła i barwy, tylko fale eteryczne, a zatem tylko ruchy; jednak o tych ruchach, istniejących w rzeczywistości, nic nam zmysły nasze nie podają, przeciwnie prawią nam tylko o świetle i barwie, których przy troskliwem badaniu poza nami nie napotkamy. — Również podaje nam ucho pewne głosy, których nie zna świat zewnętrzny; o falach głosu zaś, które nam umiejętność jako jedynie istniejące podaje, nie wie nic nasze ucho. — Ani o falach ciepła, ani o składach i rozkładach chemicznych np. o tych, które nazywamy paleniem się, nic nam uczucie nie podaje, tylko boleść, której przecież nigdzie w świecie fizycznym nie napotykamy.

Najwięcej zwykliśmy się spuszczać na zmysł wzroku, a właśnie ten zwodzi nas może najczęściej i najgorzej. Już sama istota światła czyni tyle spostrzeżeń niepewnemi, albo nawet zupełnie błędnemi. Cieszy nas widok gwiazdzistego nieba; któż nas jednak może zapewnić, czy nie jedna z tych gwiazd może już od tysiąca lat zagasła, zaginęła? Podziwiamy urok zachodu słońca; jednakowoż to przecież czyste złudzenie. — kiedy się nam wydaje, że słońce zachodzi, wtedy słońce dawno już zaszło.

Zatrzymajmy się przy tym zajmującym przedmiocie nieco dłużej. Wychodzimy zazwyczaj z tej zasady, że **wszystko to, co nam zmysły podają, jest rzeczywistem**. Ale cóż to znaczy ten wyraz **rzeczywisty**? Przy zmyśle wzroku oczywiście nie co innego, jak że to, co widzimy, rzeczywiście takiem jest, jakiem je widzimy, że się tam znajduje, gdzie je widzimy, i że wtedy jest, kiedy je widzimy. Co do pierwszego i drugiego punktu, wiadowem jest, że bardzo wiele rzeczy, np. gwiazdy, nie znajdują się tam, gdzie takowe widzimy; wiemy, że to, co widzimy, nie jest tem, jak je widzimy, t. j. nie jest farbą i światłem, lecz falami eteru poza nami. A co do trzeciego, to pokazuje się, iż przy bliższem zbadaniu ściśle wziąwszy nic z tego, co widzimy, nie istnieje i nie dzieje się w tej chwili, kiedy je

widzimy, że wśród ciągle zmiennych stosunków to, co widzimy, rzeczywiście w chwili, kiedy je widzimy, już od dawna nie istnieje, że zatem nasz wzrok podaje nam tylko coś nierzeczywistego.

Oko jest tylko taką stacją do przyjmowania posłów, oznajmiających nam to, co w większem lub mniejszem oddaleniu od nas się dzieje. Posłami tymi są promienie światła. Prawdą jest, że ruch światła liczy się do najszybszych z pomiędzy tych, jakie dotąd znamy; promień światła przebiega na sekundę mil prawie 41 000. Jakkolwiek szybkimby ten ruch był, potrzebuje on jednak zawsze czasu do przebieżenia. Wprawdzie słusznem jest, że ta różnica czasu przy małych odległościach na ziemi prawie jest nieznaczną, jest jednak zawsze różnicą, a skoro weźmiemy na uwagę większe odległości w przestrzeni świata, stanie się ta różnica znaczniejszą, a kiedy oko nasze przyjmuje to poselstwo promienia, natenczas rzeczy doniesionej już dawno nie ma.

Wyobraźmy sobie w myśli, że możemy na jakąkolwiek odległość dokładnie widzieć. np. na 100 kroków, tedy okazuje nam ziemia, z różnych punktów rozpatrywana, przeróżne widoki. Roku 1632 6 listopada, o 3 godzinie popołudniu zginął Gustaw Adolf w bitwie pod Lützen; a ktoby w tymże samym czasie z Neptuna popatrzył był na ziemię, byłby zobaczył, jak o godzinie 4 zrana tegoż samego dnia Gustaw Adolf stał na czele swych wojsk zwycięzkich, pełnych otuchy, gotujących się nie na pogrzeb, ale na świetny tryumf swego dowódzcy. Dnia 15 marca roku 44 przed Ch. zrana o 10 godzinie padł Juljusz Caesar pod sztyletami swych morderców, i odtąd poczęły się zupełnie inne czasy dla państwa rzymskiego. Jednak mieszkańcy gwiazdy 61 Łabędzia byliby o tej porze widzieli, jak Caesar po powrocie po odniesionem zwycięztwie nad Brytami w zimie z roku 54 na 53 przed Ch. z małemi siłami jedynie tylko przez swoje zdolności zgniótł burzących się Gallów, i gotował się do powtórnego zwycięzkiego pochodu przez Ren.

Na Nowy rok 1865 mógł ktoś w Paryżu składać powinszowanie noworoczne Napoleonowi III; gdyby zaś w tejże samej chwili popatrzył się z gwiazdy x Lutni, obaczyłby francuzką rzeczpospolitę, w której jeszcze wielu nawet nie myślało o tem, co im przyniesie następny dzień, t. j. 2 grudzień 1852 r. Ten sam człowiek byłby o tej samej porze, patrząc na ziemię z Alcyony, widział, jak Krzyżowcy tracili ostatni swój punkt oparcia w Palestynie, twierdzę Ptolomaidę w r. 1291, zaś z gwiazdy w mlecznej drodze byłby zobaczył państwo assyryjskie pod Ninusem i Semiramidą i pochód żydów do Egiptu na 2020 lat przed nar. Chr. — Krótko mówiąc, gdyby się stało zadość naszemu życzeniu, abyśmy tak cudowną siłę wzroku posiadali, i mogli się każdej chwili przenieść tam, dokąd się nam tylko spodoba, tedy oglądalibyśmy na własne oczy całą historję świata.

Zwróćmy się teraz po tem zboczeniu do naszego przedmiotu. Wspomniano wyżej o tem, jak złudzenia zmysłowe pochodzą właściwie z sposobu naszego zmysłowego pojmowania. Można je jednak jeszcze inaczej podzielić — niejako ze stanowiska moralnego, co o wiele jest ważniejszem, niźli poprzedni podział. Złudzenia, jakich się nabawiamy przez nasze zmysły, rozdzielają się jeszcze na takie, których nie można uniknąć, na nieochybne, i na takie, jakich się ustrzedz można. Pierwsze są stałe, nieuniknione, nieochybne, choćbyśmy nasze poznanie rozwinęli do najwyższego stopnia doskonałości, choćbyśmy się jak najdowodniejszego i najpewniejszego nabrali o nieprawdzie zmysłowego świata zjawisk przekonania, choćbyśmy wpływ naszej myślącej i chcącej istności nad czysto cielesnymi popędami do jak największej przewagi rozwinęli. Inne zaś są tego rodzaju, że się od nich stosownem rozwojem umysłu mniej — więcej możemy uwolnić. Tutaj mogą nas zajmować tylko owe pierw wspomniane, bo nam okazują, że chociaż duch nasz może

się oswobodzić od złudzeń zmysłowych, i uznać złudzenie tem, czem ono istotnie jest, jednakowoż nie może nigdy odzwyczaić zmysłów od tego, aby ducha nie zwodziły i nie okłamywały. Pokazuje się z tego, że zmysły same w sobie prowadzą nas w błędy mimowolnie, których sam zmysł usunąć i pokonać bynajmniej nie może.

Rozpatrzywszy się bliżej w stanie, w jakim nas te nieochybne złudzenia napotykają, poznamy, że można je rozdzielić na takie, które zjawiają się przy zupełnie zdrowem ciele i wszystkich jego organów, i na takie, które właściwe są tylko pewnym słabością dotkniętym ciałom, w której człowiek staje się prawdziwie niewolnikiem złudliwego i łudzącego zmysłu. Nie rozwodząc się długo nad różnemi przyczynami tych złudzeń i nad rozmaitymi rodzajami takowych, — przejdźmy do właściwych złudzeń zmysłów, które powstają z pewnych chorobliwych wstrząśnień w systemie nerwowym, do tak zwanych powszechnie hallucynacyj.

Słabowity stan jest tutaj przyczyną, że rzadko kiedy da się ktoś o tem przekonać, iż tego, co widzi, słyszy, czuje, nie ma w rzeczywistości, gdyż świadectwo zmysłów jest w tym razie zazwyczaj tak żywem i pewnem, iż słabi raczej całemu otoczeniu przypiszą zły zamiar, niżby mieli przypuścić nieprawdziwość swych zmysłowych wrażeń. Należą tu szczególnie takie zjawiska, które u nerwowych, drażliwych i rozmarzonych ludzi rodzą przekonanie o jakichś zjawieniach duchów, dlatego też bliższe zastanowienie się nad niemi jest wielkiej wagi przy osądzeniu wielu historycznych wypadków. Takie zjawiska upoważniają do tego dziewacznego wniosku, że taki, który mówi: „Nie uwierze w duchy, póki ich nieobaczę,“ rzeczywiście popadł potem w ten zababon, gdyż powołuje się on tu na świadectwo zmysłów, chociaż przy rozważnem zastanowieniu musiałby przyznać, że te nie są wcale wiarogodnymi świadkami, ale że go owszem często mogą zawieść. Słuszniej możnaby powiedzieć: „Nie wierzę w duchy, nawet chociażbym je zobaczył.“ Najsłuszniej zaś, czyli raczej jedynie słusznie powinno to zdanie opiewać: „Co mi me zmysły podają, to nie może być żadną miarą duchem, gdyż taki jest nie możebnym w świecie zjawisk, a gdyby istnienie jego samo w sobie było możliwem, tedy nie mamy żadnego organu, którýby jego wrażenie mógł przyjąć, przez któryby na nas mógł działać.“

Jednakowoż jest wiele przykładów, że sami słabi mieli świadomość zupełną, iż to, co słyszeli, lub widzieli, lub czuli i t. d. było tylko złudzeniem czystem, chociaż te obrazy w ich rozdrażnionym umyśle przedstawiały się im jako coś rzeczywistego, chociaż słyszeli w swojem wnętrzu, w swej jaźni, jak gdyby im kto do ucha coś mówił lub szeptał, jak gdyby coś istotnie przed nimi będącego podrażniło ich umysł powonienia, lub ich cieleśnie dotknęło. Wypadków takich było i jest bardzo wiele. Z pomiędzy niezliczonej liczby podobnych wypadków, w których słabi nie chcą uznać swych widziadeł za to, czem są rzeczywiście, jest najciekawszym jeden opowiedziany przez lekarza obłąkanych, dra Langwiesera w Wiedniu, szczególnie z powodu powolnie rozwijającej się choroby. Choroba ta rozpoczęła się tem, iż słaby słyszał głosy osób, które go szkalowały; później czuł, jak go te osoby szczypały, kłuły i biły, — później uskarżał się, że mu też sama osobie poddają coś nieprzyjemnego i odrażającego pod nos do wąchania, a później widywał te osoby przechodzące się po pokoju. Stosowne obchodzenie się wyleczyło słabego zupełnie. Dr. Auzony, lekarz w domu obłąkanych w Maréville, wspomina o szczególnie często pojawiających się wypadkach hallucynacji, z których najliczniejsze były w skutek rozdraźnionego organu słuchu; po nich idą hallucynacje wzroku, podczas gdy przy zmysłach powonienia i smaku są więcej rzadkie. Oto przykłady kilku znaczniejszych hullacynacyj u osób historycznych: Znany matematyk i filozof Blaise Paskal

(ur. 1623) był raz w niebezpieczeństwie, kiedy omal nie wpadł w przepaść z wozem, którego konie się spłoszyły. Od tego czasu przywidywało mu się często, że widzi po lewej stronie przepaść, i w chwilach takiego napadu starał się zawsze od upadku ochronić przez obstawienie się z tej strony krzesłami lub czemś innem. W chwilach spokojnych miał zupełne przeświadczenie, że owe zjawisko było tylko złudzeniem. Malarz Aretino Spinello (w piętnastym wieku jeszcze żyjący w Arezzo) wymalował raz jako pokusę djabła w szczególnie strasznej postaci; od tej chwili widywał zawsze djabła obok siebie i słyszał jego wyrzuty, że go tak strasznego wymalował. Przyjemniejsze złudzenia miewał Tasso w późniejszem swem życiu. Wierzył on, że towarzyszy mu jakiś dobry duch opiekuńczy, widywał go, jak ten przychodził doń przez okno, rozmawiał z nim, i niemógł tego pojąć, że nikt inny z otoczenia, np. jego wierny przyjaciel Manso, nic niespostrzegał i nic nad głos Tasa niesłyszał.

Przejście z tych nieochybnych złudzeń do takich, których uniknąć można, tworzą tak zwane *fata morgana* i takie czcze widziadła, w których łączą się zjawiska przyrody, słabowity stan muzgu rozgrzanego upałem, i fantazje, wywołane pragnieniem, aby najdziwniejsze sprowadzić widzenia.

W ogóle wszystko, co nas rozdrażnia lub wzrusza: radość, obawa, przestrach, jednem słowem taki stan, który powszechnie określamy w życiu zwrotem: Człowiek stracił umysły, nie jest panem samego siebie“ — jest zdolny wpłynąć tak dalece na zmysły, że te tracą i tę wiarogodność swoich wrażeń, o ile w ogóle na tej polegać można. Już sama żywsza wyobraźnia w połączeniu z jakiem uprzedzonym zdaniem staje się powodem, że człowiek często to słyszy lub widzi, co chce, lub co podług jego widzimisię być powinno. Ktokolwiek rozpatruje się w życiu i jego zjawiskach trzeźwo, uważnie i bez uprzedzenia, taki będzie miał często sposobności, robienia takich spostrzeżeń. Szczególnie wzruszenia rozstrajają zmysły, są powodem, że człowiek pojmuje swe otoczenie w fałszywy sposób, ocenia stosunki z uprzedzeniem, bo mu się zdaje, że inaczej widzi, słyszy, czuje, niźli jest w rzeczywistości.

Odkrycie wyprawy Franklina.

Z północnych kończyn amerykańskich nadchodzą wiadomości o życiu niektórych towarzyszów wyprawy Sir John Franklina. Że Franklin nie żyje, wiadomo z opisu podróży M'Clintock'a; nim jednak umarł, dożył jeszcze tej radości, że część jego wyprawy odkryła przejście morzem w kierunku północno-zachodnim, w co zupełnie wątpiono. Badania M'Clintocka okazały także, że kapitan Crozier, który na miejsce Franklina objął dowództwo, i Fitzjames z 100 ludźmi prawie w kwietniu 1848 r puścili się w utraconą podróż ku wielkiej rzyce Rybnej. Od Eskimosów dowiedział się dr. Rac, że w Kinga Williama kraju owej wiosny widziano jeszcze czterdziestu białych, że później w lecie około trzydziestu trupów znaleziono na stałym lądzie, a pięć na wyspie u ujścia tej rzeki. Dalsze poszukiwania za utraconymi robić postanowił kapitan amerykański Karol Franciszek Hall, trudniący się połowem wiolorybów. Wsparty przez swych przyjaciół, odpłynął rzeczywiście w tym celu ku końcowi maja 1860 r. Więcej niż dwa lata go

nie było. Już go miano za straconego, gdy oto we wrześniu 1862 znowu na wybrzeżach Nowej Foundlandji się pojawił.

O wyprawie Franklina nie dowiedział się nic od Eskimosów, między którymi tak długo przebywał; udało mu się jednak odkryć szczątki wyprawy przed 300letniej Frobisher'a. W czerwcu przeszłego roku puścił się znowu w podróż. List przysłany przez niego z dnia 10 grudnia 1864 r. z zimowej kwatery w Igloo, Noo - Wook, na zachodniej kończynie Rowe'go Welcome 64", 46' półn szerok. 87°, 20' zachod. dług. od Greenwich (69", 40' zachodniej dług. od Ferro.)

W piśmie tem stoi między innemi: „Odkąd zetknąłem się z krajowcami, nie opóściłem ani chwili, z którejbym nie skorzystał. Za pomocą mego dzielnego tłomacza Too-koo-li-too dowiaduję się o wielu zdarzeniach zaszłych na wyspie Zimowej i Inglulik, o których wcale nie wspomniano w dziełach Parry'ego i Lyon'a. Główne moje zadanie polega jednak na tem, aby przez moich tłomaczów Too-koo-li-too i E-bier-bing wywiedzieć się o wszystkiem, cokolwiek wiedzą o wyprawie Franklina. Obszerniej doniosę o mych doświadczeniach później; teraz w krótkości tylko tyle: Najważniejszem jest to, że prawdopodobnie żyje jeszcze trzech towarzyszy Franklina, jednym z nich jest Crozier, następca Franklina. Croziera i trzech jego towarzyszy odkrył jeden z tamtejszych krajowców, podczas polowania na psy morskie, przy Neitch-il-le (Boothia Felix). Z Croziera nie było tylko skóra i kości, podczas gdy towarzysze jego dobrze wyglądali. Poznał ten krajowiec zaraz, że ci trzej żywili się ciałem ludzkiem, ciałem swych towarzyszy. Krajowiec ten wziął ich pod swoją opiekę; ubił psa morskiego, i dał posilić się Crozierowi, pierwszego dnia tylko kawałeczek, drugiego dnia już więcej. W taki sposób ocalono życie Croziera. Przez całą zimę znaleźli schronienie i opiekę u tego szlachetnego krajowca. Jeden z towarzyszy umarł w tym czasie.

Na wiosnę odprowadzili Eskimosy Croziera i dwu pozostałych przy życiu towarzyszy do Neitch-il le, gdzie zastano wielu Innitów. Crozier miał z sobą strzelby i prochu po do statkiem, a oprócz tego wiele innych rzeczy, któ.e się tym krajowcom podobały. Strzelano kaczki i inne ptactwo, u Innuitów przyszedł Crozier do zupełnego zdrowia, i w krótce blisko się zapoznał, a właściwie odnowił dawną z nimi znajomość, bo już tam był dawniej. Później postanowił udać się na południe w towarzystwie jednego Innuity do kraju Kol-lu-nas Dalsze jego losy są niewiadome, krajowcy sądzą jednak że Crozier żyje.“ List ten, w którym się jeszcze inne szczegóły znajdują, napisany jest w widocznym pośpiechu, zbywa w nim często za należytym związku, wywołał on jednak powszechne zajęcie obietnicą bliższych na przyszłość szczegółów, już bowiem dziesięć lat upłynęło od ostatniej wiadomości o Crozierze i jego towarzyszach; zdaje się, że ci wyratowani żyją gdzieś między Eskimosami, niemogąc znaleźć drogi i sposobu do powrotu.

ROZMAITOŚCI.

— *Statistisch-geographisches Jahrbuch.* (Rocznik statystyczno-geograficzny). Ktokolwiek tylko geografją i statystyką zajmywał się i zajmuje, a komuż nieprzyszło choćby czasem statystyczne lub geograficzne dzieło jakie przeglądać i do niego o poradę udawać się, napotkać musiał na różne niedostateczności i trudności. Każda prawie geografja, każda statystyka, czyto głośniejszego czy mniej sławnego autora, podaje odmienne częstokroć nawet sprzeczne ze sobą data co do objętości państw i krajów różnych, liczby ich mieszkańców, miast

większych i mniejszych, wysokości gór znaczniejszych itp. Jeżeli już co do krajów Europy, stosunkowo pod każdym względem najlepiej nam znanej, niedokładności i niedogodności tę natrafiamy, cóż dopiero powiedzieć o różnych i licznych państwach i krajach Azji i Ameryki i jakby całkiem nieznanej do dziś dnia środkowej Azji i Australji? Ale też i niedziw! Przyczyny tego są mnogie: niedostateczna znajomość rozległych obszarów kuli ziemskiej, niedokładny pomiar krajów, powierzchowne bo częstokroć tylko na przepuszczeniu i hipotezach opierające się obliczenie ludności, zresztą ciągła fluktuacja pod tym względem, pomnażanie się rok roczne i ubywanie mieszkańców, dalej zmiana stosunków politycznych, wojny, odstępywanie terytoryów skutkiem zawartych traktatów nowych, czasami zła wola piszącego itd. itd. Szczególniej niezasługują w tej mierze na wiarę dzieła starsze: im więcej lat od wydania statystyki jakiej lub geografji upłynęło, tem też mniej na liczbach pozytywnych, które podaje, polegać można; statystyka taka i geografja zachowuje zawsze wartość swoją, ale tylko dla ludzi uczonych, fachowych — potrzebom zaś szerszego koła czytelników, potrzebom teraźniejszości, odpowiedzieć nie może. Niedostateczność tę uczuli już mocno uczeni cudzoziemcy.

Znakomity pisarz francuzki *Vivien de Saint-Martin* wydaje już od lat kilku *Année géographique*, starając się tym sposobem niedogodność tę usunąć. Publikacja ta jednakowoż uczonego i pracowitego Francuza, choć bardzo szacowna, nie jest pod każdym względem wyczerpującą i gruntowną. *Vivien de Saint-Martin* ogranicza się bowiem na własnych siłach i sam jeden potrzebne materjały do *Année géographique* gromadzi, a każden obeznany z tym przedmiotem przyznać musi, że niepodobna jest jednostce, choćby nią był najpilniejszy i najskrzętniejszy geograf, podołać wszelkim warunkom, jakich publikacya taka w dzisiejszym czasie wymaga. Otóż przezorniejsi w tej mierze i pracowici uczeni niemieccy postanowili brakowi temu i tej niedostateczności zaradzić zupełnie. Jak się dowiadujemy, ma już ku końcowi bieżącego roku wyjść pierwszy Tom rocznika *Statistisch-geographisches Jahrbuch*, poświęconego jedynie i wyłącznie potrzebom i wymaganiom terazniejszości co do dokładnej znajomości pozytywnych liczb i dat różnych europejskich i zaeuropejskich państw, krajów, miast itp. Redakcję rocznika tego obejmuje Dr. E. Behm, a jako główni współpracownicy i kierownicy mają wystąpić głośni w świecie uczonym: Dr. A. Petermann, Dr. Fr. Mueller, Dr. K. v. Scherzer, profesorowie Dove, Grisebach, Schmarda, Seligmann, Fabricius, R. v. Schlagintweit, v. Kloeden, H. Berghaus, generał Baeyer, major E. v. Sydow i inni. Znakomity i od dawna już istniejący zakład geograficzny w Gocie pod firmą *Justus Perthes* podjął się nakładu wydawnictwa tego, co już samo przez się za publikacją tą przemawiać musi. Nie wątpimy ani na chwilę, że Rocznik ten statystyczno-geograficzny zasilony piórem i pracą tak znakomitych i sławnych pisarzów odpowie wszelkim wymaganiom i warunkom, a jako dzieło podręczne zjedna sobie tak w świecie uczonym jak i w szerszem kole czytelników zaszczytne stanowisko i miejsce. Wiadomość więc o nim podajemy szanownym czytelnikom naszym, a oraz przyrzekamy, jak tylko opuści prasę, umieścić w „Tygdniku Naukowym“ dokładniejsze jego ocenienie.

— Znanego powszechnie pisarza G. F. Kolba znakomite dzieło statystyczne: *Handbuch der vergleichenden Statistik der Völkerstands- und Staatenkunde* wyszło w bieżącym roku u Feliksa w Lipsku już w edycji czwartej. Cena 2 talary 27½ sgr. stronnic 568. 8ka.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **F. B. Twardowski.**

Główny współpracownik: **L. Tatomir.**

Z drukarni Zakładu nar. im. Ossolińskich. *Pod bezpośrednim zarządem Aleksandra Vogla.*